

The illustration is a stylized, flat-design representation of a desert scene. In the foreground, a large, tan-colored sphinx with wings is depicted in profile, facing left. The ground is a solid yellow color with a fine dotted texture. Scattered across the ground are small, dark brown beetle-like insects. To the left of the sphinx, the silhouettes of two people, a man and a woman, stand together, looking towards the horizon. The background features a light blue sky with a large, bright yellow sun in the upper right, a smaller yellow star-like symbol in the upper left, and a brown crescent moon in the center. Below the sky, there are three wavy, horizontal bands of light blue, suggesting a body of water or distant hills. On the right side of the image, there are several stylized, brown, leafy branches or bushes. The overall aesthetic is minimalist and modern.

W cieniu hetyckiego sfinksa

Eugeniusz Paukšta

2

Eugeniusz Paukšta

W CIENIU HETYCKIEGO SFINKSA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-72-2

Copyright © Eugeniusz Paukšta

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS ROZDZIAŁÓW

- I. POGMATWANE POCZĄTKI
- II. ...I NADAL COŚ SIĘ GDZIEŚ CZAI
- III. TAJEMNICZE PORWANIE
- IV. NOC NAD SŁONYM JEZIOREM
- V. TAŃCZĄCY DERWISZE SĄ NIEBEZPIECZNI
- VI. ŚWIAT SPRZED CZTERECH TYSIĘCY LAT
- VII. JAZYŁYKAJA I ... CZARNOOKA HADŻER
- VIII. WSZELKIE MOŻLIWOŚCI PRZED NAMI
- IX. POŁÓW PSTRAGÓW NIE WYJAŚNIA WSZYSTKIEGO
- X. KAŻDY MA SWOJE PROBLEMY
- XI. WICEK PENETRUJE ZAGADKOWĄ PIECZARĘ
- XII. RYDWANY HETYCKICH WOJÓW I PANI BARNES
- XIII. ŚWIAT DO GÓRY NOGAMI
- XIV. RĘCE DO GÓRY, BO STRZELAM
- XV. TWARZĄ W TWARZ Z HETYCKIM SFINKSEM
- XVI. STEPHEN OKAZUJE SIĘ RÓWNYM GOŚCIEM
- XVII. HETYCKIE TABLICZKI I KOMUNIKAT RADIOWY

I. POGMATWANE POCZĄTKI

Musiał się urwać kolegom; tego popołudnia nie było mu do rozmów ni zabaw. Dziwnie samotny poczuł się nagle pośród rozdokazywanych, uszczęśliwionych kompanów. W olbrzymiej większości życzliwi mu, spoglądali zaskoczeni na jego posmutniałą twarz.

Rozzłoszczony trochę na siebie, że nie potrafił ukryć własnych odczuć, kopnął ze złością jakiś kamyk. Kamyk potoczył się, zsunął ze skarpy nadbrzeżnej i z pluskiem zniknął w głębokiej, ciemnogrnatowej wodzie Bosforu.

Oni, pewnie, mieli prawo się dziwić. Ze świadectwem promocyjnym w kieszeni, z perspektywą długich wakacji, tak atrakcyjnie zapowiadających się dzięki profesorowi Zaferowi Kseresowi, można się było tylko radować... Gdy na domiar i z Polski dochodziły od ojca raczej pomyślne wieści. Jeżeli tatko nie koloryzował po swojemu, nie chcąc go martwić... Bo czemu znów się znajduje w szpitalu czy sanatorium?

I w ogóle... Niby dobrze, pięknie, uroczo, a jednak coś gryzie.

Sterczy tu teraz samotny, przycupnąwszy na skarpie nadbrzeżnej, wygapia się na Bosfor, na przeciwległą azjatycką stronę, przeżywa osobliwe nastroje. I właściwie dlaczego? Postawił na swoim. Musiał postawić, i wcale nie dlatego, iż kiedyś w Adampolu podsłuchał rozmowę cioci Zosi ze starym Wilkoszewskim, gdy zgodnie dochodzili do wniosku, że nie można wymagać, by w ciągu jednego roku dał sobie radę z nauką w obcych językach. Bo niby to buda z wykładowym angielskim, ale bez tureckiego też ani rusz. Tureckiego nie znał w ogóle, kilkadziesiąt słówek przyswojonych podczas przygodowych wakacji nie mogło się liczyć. Na domiar i w angielskim też kulał na obie nogi jak ochwacona szkapa. A jednak...

Musiał się tym razem uśmiechnąć. I jakoś mu się rażniej zrobiło. Przeciągnął dłonią po marynarce, zaszeleściło w kieszeni świadectwo promocyjne. Poradził sobie. Nie było łatwo, przeciwnie, bardzo, bardzo trudno. Jakich nie używał sposobów, byle tylko nie pozostać w tyle za kolegami. Już nawet gotów był użyć systemu Tadeusza Kościuszki. Słyszał kiedyś, że sławny wódz w młodości przywiązywał do ręki linkę, drugi jej koniec wyrzucając za drzwi. O umówionej godzinie woźny całą siłą szarpał za sznurek, budząc go... W internacie nocny dyżurny nie zgodził się na propozycje Julkowe, wzruszając ramionami nad szczególnymi polskimi metodami przewycięzania samego siebie. Pał go dunder, i tak się udało.

Więc czemu pod uśmiechem czai się smutek? Iluż to chłopców z Polski zazdrościłoby mu serdecznie! Mieszkać i uczyć się w Turcji, przeżywać zapierające dech w piersiach przygody przy odkrywaniu grobowca Dardanów [*Historię tych przygód odnajdzie Czytelnik w powieści „Złote korony księcia Dardanów”*], poznawać chcąc nie chcąc obce języki, zachłystywać się szerokim światem.

Znów kopnął kamień, omal nie zdzierając zelówki. A on ma dosyć świata, przygód, całego tego Stambułu razem z Bosforem. Zwyczajnie, najzwyczajniej, pragnąłby teraz wrócić do Polski. A tam znów jak kiedyś wyjechać z ojcem nad warmińskie jeziora, razem z nadbrzeżnymi drzewami przeglądać się w przejrzystej wodzie, łowić szczupaki, potem leżeć na brzegu obok tatka i gadać, mówić samemu i pytać, i czuć, że tak jest najlepiej, najpiękniej...

Gdyby jeszcze i Hadżer mogła się zjawić w Ostródzie... Podniósł się ze skarpy ubawiony, ale i rozzłoszczony nieco na siebie. Marzy tu sobie pięknie. Jeszcze tylko zapomniał o gwiazdce z nieba i kafełku z pieca. I tatko, i Ostróda, i Hadżer na domiar. Coś za wiele chce się pomieścić w tym 16-letnim sercu, za wiele...

Hadżer... Dwa tygodnie się nie widzieli. Straszliwie długo. I jeszcze trzeba kilka dni czekać. Ciekawe, każde kolejne spotkanie staje się coraz niecierpliwiej wyglądanym. Czy dla niej też? Właśnie przed dwoma tygodniami ojciec dziewczyny, tak życzliwy mu pan Aziz Gelogliu, żartobliwie pogroził Julkowi palcem:

– Julek, coś ty zrobił z moją córką? Nosi w torebce twą fotografię, wzdycha czegoś i rumieni się, bywa, zamarzy się, nie słyszy wtedy, co się do niej mówi...

Jakże był wtedy szczęśliwy, słysząc te słowa. I tylko spoglądał na drzwi przyległego pokoju, czy pani Gelogliu tego nie słyszy. Nie oponowała już jak przed rokiem tej znajomości, ale wyraźnie też nie była Julkowi życzliwa. Gdyby nie pan Aziz, kto wie, może zakazałaby Hadżer widywania się z tym zwariowanym Polakiem, jak kiedyś go określiła.

Jakby to można było nie zwariować wobec tych czarnych, płonących oczu... Ledwie spojrzą, a już o świecie się nie pamięta...

I znów kopnął kamyk.

Skrzekliwy głos kobiecy przywrócił go przytomności. Nawet nie zwrócił przedtem uwagi na wysoką, chudą kobietę w dziwacznym ubraniu, z zapalem łowiącą ryby. Odwrócona twarzą ku niemu, jazgotała z szybkością karabinu maszynowego. Angielka; choć nie od razu w tym się rozeznał, takie było tempo wyrzucanych przez nią słów. Pomstowała, że płoszy jej ryby, że też ci młodzi Turcy za grosz nie mają taktu i subtelności, przeszkadzając poważnym ludziom w tak zbożnym zajęciu, jakim jest łowienie pięknych, srebrzystych rybek. Teraz na pewno już żadna się nie złakomi na haczyk.

– Właśnie bierze... – wskazał na spławek.

Angielka poderwała wędkę. Niewielka, rozmiarów sardynki rybka zatrzepotała na haczyku. Podobnych jej sporo już kotłowało się w małym wiaderku, stojącym u stóp amatorki wędkarstwa.

– Aha... – mruknęła zadowolona i życzliwiej spojrzała na chłopca, dopiero teraz przyglądając mu się uważniej. – Jesteś Turkiem? Coś nie wyglądasz mi na to. I angielski też znasz...

– Jestem Polakiem. Ale teraz tu mieszkam i uczę się...

– Polakiem? *Wonderful [Cudownie (ang.)]*! I tu się uczysz? Tu mieszkasz? – zaśmiała się całą twarzą, odmłodziła i Julek pomyślał, że właściwie trudno byłoby określić, ile ta chuda kobieta ma lat, pięćdziesiąt pięć czy osiemdziesiąt. Bo chwilami wyglądała tak, a zaraz potem inaczej. Patrzył na swą towarzyszkę z rozbawieniem. Gdzież tu angielska flegma i powściągliwość w słowach? I jaka ruchliwa, sekundy nie ustoi spokojnie; podreptuje, głową kręci, przechyla się, tylko patrzeć, jak wyląduje w Bosforze. I to ubranie; zamszowa kurtka o męskim kroju, podniszczona solidnie, wielkie kieszenie, wypchane czymś, na głowie beret, tylko spódnica jeszcze od biedy normalna. A z jaką wprawą nadziewa na haczyk robaka, jakby nie robiła w życiu niczego innego...

Bawiła go i podobała mu się. Zapomniał o niedawnym frasobliwym nastroju, przyglądając się chudej jak szczapa kobiecie. Zdawać by się mogło, że nie pamięta już o jego obecności, pochłonięta bez reszty łowieniem. Zbaraniał, gdy całym obrotem ciała zwróciła się nagle do niego:

– Tam jest druga wędka, za tobą, weź, możesz łowić razem ze mną... Umiesz? – Widząc jego wahanie, przynagliła: – Szybciej, zastanawiasz się jak stary dziadyga...

Roześmiał się teraz w głos. Ta babka poderwałaby chyba do życia i umarlaka. Ależ dziwo z tej Anglicy. O, jak to teraz brwi wysoko w górę podnosi...

– Ze mnie tak się śmiejesz? – ostrzejsze ogniki zapaliły się w siwych oczach.

– Nie z pani... ale tak pani przymusza, tak mną dyryguje. Już biorę wędkę, a łowić umiem. Jeszcze z Polski. Często jeździliśmy z ojcem na jeziora...

– Aha – mruknęła.

– I to jeszcze, że pani wiele mówi, zupełnie nie po angielsku.

– W matkę się wdałam. Ona była Francuzką... Z ojcem, mówisz, w Polsce... tu są robaki, zakładaj... A czemu znalazłeś się teraz w Turcji?

– To długa historia... Mam tu rodzinę, w polskiej wsi, Polonezköy, za Bosforem.

Skinęła głową.

– Słyszałam. Słuchaj no... Jak ci na imię? Julek? Słuchaj Żul, a dlaczego ty... Nie patrz z taką złością, podobasz mi się, stąd ciekawość. A zresztą masz rację, pogadamy potem, teraz ryby... Doskonale smakują smażone. Tak mówią... bo ja ryb nie lubię i nigdy nie jadam... Ta nieco roślejsza – z satysfakcją zdejmowała z haczyka większą sztukę.

Zagapił się w wodę Bosforu, intensywnie granatową nawet tutaj, w samym sercu Stambułu, obok przystani i portów, gdzie do wody spływało wiele wszelakiego śmiecia, a złociste plamy oliwy zagarniały całe szmaty powierzchni. Szybki prąd radził sobie jednak z tym nalotem, odsłaniając znów czystą, groźnie ciemną wodę. W miejscu, gdzie łowili, mała betonowa ostroga powstrzymywała napór wody; rozbity nurt wirował zakolami, zagarniając podskakujący i tańczący jak pijany spławik wędkę.

Od tyłu rozlegały się coraz to gwizdki ruszających w swą niezmordowaną turę z brzegu na brzeg motorowych promów, przewożących ludzi i towar. Jak zawsze rojno było, hałaśliwie i ciasno. Przypomnił się Julkowi ubiegłoroczny pożar na Bosforze, gdy zderzyły się z sobą dwa tankowce; palna ciecz spływała strugami, podsycając narastający ogień. Samoloty zgasiły pożar zrzutami jakichś chemikaliów. Było na co popatrzeć, choćby z daleka, policja zaraz bowiem odcięła wszelkie drogi wiodące na przystań...

Od Morza Czarnego płynął wielki frachtowiec. Marynarze pozdrawiali ludzi na brzegach życzliwym kiwaniem dłoni. Jakaś żaglówka przemknęła niebezpiecznie blisko statku.

Lubił Bosfor, urodziwy sam w sobie, zwłaszcza w tych dalszych partiach, gdzie brzeg już pustoszał, wolny od zabudowań. Woda rwała w przesmyku silnym nurtem, w pogodne wieczory wyskakiwały nad nią takie same srebrzyste rybki jak te, które teraz łowili. Podciął, nowa sztuka zatrzepotała na haczyku.

Rozejrzał się za wiaderkiem, do którego Angielka pakowała trofea. I nagle ujrzał zolbrzymiałe oczy i szeroko rozwarłe usta swej towarzyszki, potem dopiero młodego człowieka, który trzymając pod pachą wielką torbę, rwał co sił w nogach ku miastu.

– Moja torba, *my God [Mój Boże (ang.)]* – jęknęła tylko Angielka i zatrajkotała szybciej jeszcze niż przedtem.

Nie słyszał już tego. Na słowa, że torba należała do jego towarzyszki, z miejsca zerwał się w pościg.

Tamten sadził wielkimi susami jak wystraszony zając, jazgotliwe pokrzykiwanie poszkodowanej Angielki dodawało mu sił.

Przez dłuższą chwilę wydawało się Julkowi, że nie dogoni już złodziejaszka; przestrzeń między nimi nie zmniejszała się, strach wyraźnie dodawał łobuzowi skrzydeł. Ale i w młodym Polaku zbudziła się zaciętość. „Czekaj no, ducha wyzionę, a jednak dogonię...” I rwał, przebierał nogami coraz to szybciej, omijał zadziwionych przechodniów, którzy nie od razu orientowali się w tym, co naprawdę się stało, z trotuaru skoczył na jezdnię, lepiej się biegło; choć samochody mijały tuż, tuż. Byle tamten nie zdążył zmieszać się z tłumem na przystani, bo wtedy szukaj wiatru w polu...

Ale złodziejaszek zboczył w najbliższą uliczkę, wiodącą ku dzielnicy Galata. To go zgubiło. Zderzył się za rogiem z jakąś jejmością, zaraz potem omal nie nadział się na wózek załadowany kawonami, wytracił szybkość. Był już coraz bliżej, co Julkowi najwyraźniej dodało sił. Jeszcze trochę, jeszcze! Och, jak ostro rwie w płucach. Chyba już nie wytrzyma.

Coś z szurgotem runęło mu pod nogi. Nie zdołał odzyskać równowagi, długim szczupakiem poszorował po jezdni, szczęściem, zdążył jeszcze zadrzeć głowę do góry, inaczej miałby facjatę jak świeżo rozcięty pomidor.

– Jasny gwint, zwieje mi... – przeleciało mu jeszcze przez myśl.

Zarazem ujrzał torbę, tę skórzaną, czarną torbę, załadowaną czymś solidnie, złodziejaszce wcale nie było lekko z tym ciężarem. Julek poderwał się do zdobyczy, uchwycił mocno, bo już jakieś dwa łobuziaki czujnie spoglądały na odrzucony łup.

Teraz dopiero, mocno trzymając torbę w dłoniach, mógł odsapnąć. Przed oczyma wirowały mu kręgi, kolorowe, najwięcej złotych. Pierś podnosiła się jak miech, usta ze świstem wypuszczały powietrze. Przetarł spocone czoło, obejrzał się, po złodziejaszku znikł wszelki ślad. Pal go sześć, grunt że jest torba.

Złapał mocniejszy oddech. No, już dobrze. Trzeba wracać, bo tam stara zagada cały Bosfor. Musiał się uśmiechnąć. Przypomniało mu się nagle wydarzenie sprzed roku, gdy uratował dziewczynkę spod kół samochodu. Kto by pomyślał, że pozna w ten sposób Hadżer... Westchnął, czym prędzej zaczął myśleć o czymś innym. I znowu coś musiało się stać. Wicek zawsze powiada z zazdrością, że przy Julku nieustannie coś się dzieje... Może i ma rację, czasem już tylko za wiele jest tego dziania się. Wtedy, przed rokiem, zagubił się w Stambule, pierwszy raz oglądanym na oczy. Zmęczony był, smutny, nieświadomy dalszych swych losów. I od razu taka historia, z poszukiwaniem go przez gazety, z zawarciem później znajomości z państwem Gelogliu... Wszystko tak samo. A bo to Haluka poznał inaczej? Żeby nie bójka z Turkiem na plaży, do dziś by się najpewniej nie znali, nie doszłoby do wyprawy z profesorem, do udziału w odkryciu grobowca Dardanów czy pościgu samochodowego przez ćwierć kraju...

Może dziś też zaczyna się coś nowego? Wyszedł przecież tylko na spacer, źle się czuł w ten uroczysty dzień promocyjny, zagubiony, samotny. Nie wiedział, co z sobą zrobić, wołał stronić od ludzi, nawet tych najbliższych. Do Adampola planował wyjazd dopiero jutro...

Myśli urwały się. Był już na nadbrzeżu, a ku niemu przedziwnie prędko na swój, jakkolwiek by jej przypisał, wiek zbliżała się z wyciągniętymi ramionami stara Angielka.

– O mój dzielny przyjacielu... Brawo, brawo, jest torba. Górą nasza. A złodziej gdzie?

– Ucieka już pewnie z nowym łupem...

Wyrwała mu torbę z ręki, próżno się opierał. Jakże, zmęczony jest, widziała, jak biegł, gdzieś będzie szedł z takim ciężarem, w ogóle cudowna historia, cudowna, cudowna...

Kapitałni są ci Polacy... Jej daleka kuzyneczka miała w czasie wojny kolejno trzech narzeczonych Polaków, lotników. Wszyscy zginęli. Co to byli za chłopcy! Jeden w drugiego same chwaty, żeby nie oni, to ten zaśnieżyła, nudny Londyn może by już nie istniał.

– No i co potem? – zapytał z głupia frant; co go obchodziła w końcu jakaś tam kuzynka starej Anglicy.

– Potem? Kuzyneczka wyszła za Anglika, nudną piłę. I teraz tylko rozpamiętuje tamtych chłopaków... Ale co my tu o starych czasach. Jesteśmy na miejscu. Patrz, wędek nikt nam nie zabrał. Bierz swoją.

Na haczykach trzepotały rybki, same się jakoś uczepliły. Julek niechętnie zdejmował maleństwo i wrzucał do sadzyka. Odeszła go wszelka ochota łowienia. Zmęczył się tym całym pościgiem. I właściwie pora już iść, nie będzie tkwił w nieskończoność przy tym śmiesznym babsztylu. O, i teraz, łypie ku niemu oczyma, zaraz pewnie się roztrajkocze. Najwyższa pora brać nogi za pas...

– Ja też nie chcę już łowić – stanęła przed nim, fachowo zwijając wędkę. – Czym ci się odwdzięczę? Wiesz, oddam ci rybki. Podobno smaczne, będziesz miał na kolację...

Tak go zaskoczyła, że zapomniał o dobrym wychowaniu. Parsknął narastającym śmiechem, którego ani przyhamować, ani powstrzymać. Śmiał się, mrużąc przy tym oczy, trochę ze wstydu przed tą, bądź co bądź starszą kobietą, której należał się szacunek, nawet jeśli tam była nieco zwariowana.

Nagle gdy otworzył oczy, ujrzał, że i Angielka śmieje się równie serdecznie. Zdziwiony tym patrzył teraz ciepło na tę tak młodzieńczą jeszcze w sposobie bycia kobietę, mimo zmarszczek solidnie brużdżących jej twarz.

Z tym samym uczuciem sympatii odpowiadał potem na jej życzliwe pytania, gdy zaproszony na podwieczorek, znalazł się w małej salce jadalnej trochę na staroświecki sposób utrzymywanego pensjonatu, w jakim zatrzymała się pani Barnes. *Elżbieta Barnes* – zerknął na

wizytówkę, otrzymaną u początku rozmowy. Ciekaw był jej specjalności, o której wyraźnie mówiły literki, świadczące o posiadaniu doktorskiego tytułu.

– Medycyna, taka dziwna nauka... Nie praktykuję, choć prawa jej uprawiania posiadam... Chyba, gdy już zachodzi konieczna potrzeba. Dlatego nie rozstaję się z moimi narzędziami.

Z uśmiechem sięgnęła po torbę uratowaną przez Julka. Teraz już wiedział, czemu była tak ciężka. Starannie poukładane w skórzanych portfelach mieściły się tam lekarstwa, zastrzyki, strzykawki...

– Widzisz – jakby się tłumacząc, wyjaśniła pani Barnes – bardzo wiele podróżowałam kiedyś z mężem. Towarzyszyłam mu w niemal wszystkich naukowych podróżach. Często trzeba było nieść ludziom pomoc w nagłych wypadkach. Weszło mi to już w nawyk. Bo podróżuję ciągle. Od śmierci męża, to jest już sześć lat, wałęsam się po świecie; pod adresem domowym, jaki widzisz na wizytówce, rzadko kiedy można mnie zastać, tyle, że wiedzą tam, dokąd przysłać przychodzącą korespondencję.

– Mówiła pani, że mąż był paleontologiem – trudno wymawiało mu się to przydługie słowo.

– Tak. I to dosyć znanym... pasją jego była paleozoologia, ale zorientowany był i w paleoantropologii i w paleobotanice, w jakiś sposób musiało się to łączyć przy pracach w terenie. Ale to dla ciebie pewnie wszystko abrakadabra, Żul?

– Niezupełnie. Wiem, że paleontologia to nauka, która zajmuje się badaniem skamieniałości zwierząt i roślin z dawnych epok geologicznych... Z tym, że jedni badacze bardziej interesują się światem zwierzęcym, inni roślinnym, a znów jeszcze inni badaniem szczątków kości pierwszych ludzi, a właściwie przedludzi... Chyba prawidłowo mówię? – poczuł się niepewnie, jeszcze ciągle ta angielszczyzna... Jak to dobrze, że jutro już będzie w Adampolu – szkoda, że nawet na własny użytek jego mieszkańcy coraz częściej używają nazwy tureckiej Polonezköy – nagadają się po polsku z Wickiem, z ciocią Zosią, z innymi.

Ocknął się z zamyślenia. Starsza pani patrzyła na niego już nie tylko życzliwie, ale prawie z podziwem. Pokręciła głową:

– Dużo wiesz... Poczęstuję cię zaraz cukierkami. Świetne od kaszlu...

Pił potem herbatę, cienkawą; nie taką tu w Turcji pijano, ale nie mógłby nawet poprosić o mocniejszą, skoro pani Barnes powiedziała przedtem, że teina w nadmiarze może być bardzo szkodliwa.

Nikogo poza nimi tu nie było. Córką gospodarza, pełniącą rolę kelnerki, nawet nie zaglądnęła więcej po podaniu herbaty; znała już widocznie obyczaje Angielki. Nastrój był miły, coś pokrewnego, choć zarazem zupełnie przeciwnego, przypominało Julkowi dom cioci Zosi w Adampolu. Nawet nie wypytywany wiele przez starszą panią, rozgadał się, zwierzył ze swych smutnych przeżyć rodzinnych. Zwłaszcza choroba ojca zainteresowała panią Barnes, pamiętał, że w którymś momencie ściągnęła brwi, aż zbiegły się u nasady jej długiego, ostrodozobego nosa. Wyjaśnił, jak znalazł się w Turcji. I że właściwie nie wie, jak losy jego potoczą się w przyszłości. Otrzymał promocję do następnej klasy, dał sobie radę z językami, ma jechać zaproszony przez profesora Zafera Kseresa na ekspedycję archeologiczną, ale to nie wszystko... Co potem? Ojciec pisze stale, by pozostał tu jeszcze, może nawet przez cały rok. A jego ciągnie coraz silniej do kraju, do ojca, do tamtych jezior i lasów...

W którymś momencie aż żal mu się zrobiło samego siebie; ściszył, zawiesił nieomal głos. Ciocia Zosia w takiej chwili na pewno by się rozczulila, podeszła, przytuliła do siebie, zaszeptała coś miłego, a potem przyniosła ze spiżarni słoik konfitur. Tymczasem Anglica trzasnęła go nagle chudą, kościstą dłonią przez plecy – Haluk mocniej by nie potrafił – zagadkała ostro, surowo:

– Tylko nie rozplacz się przypadkiem. Niedługo będziesz dorosły, a mazgaisz się jeszcze. Coś robił dziś nad Bosforem, gadaj mi zaraz?!

Oczy szeroko otworzył, rozzłościł się. Do jasnej Anielki, co mu ten babsztyl będzie pokrzykiwał nad uchem? Za cukierki od kaszlu i mdłą herbatę? Za uratowanie torby z pigułkami i ampułkami?

– Nic. Przyszedłem na spacer.

– Aha. A teraz co zamierzasz?

– Pojadę do Yesilurtu, tam, gdzie lotnisko. Do znajomych. On jest profesorem archeologii, znanym na cały świat. Odnalazł w ubiegłym roku grobowiec książęcy Dardanów...

– Już o tym mówiłeś... Yesilurt, to za Stambułem. Daleko. Odwiozę cię. I nie bądź na mnie zły. Pamiętaj, że jesteś mężczyzną. Dlatego cię ofuknęłam. Rozumiesz?

Zrozumiał, gdy zobaczył ją za kierownicą. Długo nie mógł się oswoić z szaleństwem jazdy po Stambule. Żaden z kierowców nie zważał tutaj na przepisy, mijali się z prawa i z lewa, wyciskali gaz do deski na ciasnych uliczkach, prawie nie zdejmowali dłoni z klaksonu. Że mimo to wypadki zdarzały się stosunkowo rzadko, było wynikiem ich wyjątkowego chyba refleksu... Jeździł po tym mieście z wójtem Adampola, z profesorem, parę razy z Halukiem, który dorwał się do ojcowskiego mercedesa, ale wszystko to była dziecinna zabawa w porównaniu z tym, co pokazywała teraz pani Barnes za kierownicą swego masywnego, choć nieco podstarzałego austina. Jakby szatan wstąpił w tę mocno już przecież leciwą kobietę. Wywijała przez ciasne uliczki z taką wprawą, wciskała się między inne maszyny tak zręcznie i w tak błyskawiczny sposób, że początkowy lęk Julka minął, ustępując podziwowi. Taka babka ma prawo pohukiwać, że ktoś się mazgai...

Najbardziej ruchliwe centrum Stambułu mieli poza sobą; przejechali już przez zatłoczony most Galata, przerzucony przez zatokę Złotego Rogu. A i ulice były tu nieco szersze. Mignęły stare mury Konstantynopola i wpadli na szeroki highway, wiodący ku Edirne i dalej do bułgarskiej granicy – słynny międzynarodowy szlak przelotowy. Pani Barnes podcisnęła gaz, strzałka przesuwiała się szybko, aż zatrzymała się na osiemdziesięciu milach. Można było tu sobie na to pozwolić, bo ruch był jednokierunkowy, a białe pasy ułatwiały mijanie. Wóz szedł leciutko, wcale nie czuło się szybkości. Julek rozkoszował się pędem; tak jeszcze nie jeździł. Chyba że wtedy, w tamtą pamiętną noc, gdy przez Pergamon gnali do Izmiru w pogoni za rabusiami kosztowności ze starożytnego grobowca...

Pytanie Angielki tak odbiegało od jego nastroju, że nie od razu je pojął.

– Skąd ja znam nazwisko profesora Kseresa? Może przez męża? Muszę zajrzeć do moich notatek, prowadzę je od lat... Ciebie także tam wpiszę, nasze spotkanie.

Wzruszył ramionami. Pewnie, baba, więc i pamiątniki. Mężczyźni na ogół nie bawią się takimi rzeczami.

Dojeżdżali już. Na lewo wzbijał się w powietrze wielki pasażer; grzmotem i dudnieniem poniosło się na całą okolicę. A zaraz z prawa rozwierał się Yesilurt, podstambulska dzielnica willowa, leżąca tuż nad Marmarą. Ileż z tą miejscowością kojarzyło się wspomnień Julkowych! A i nie tylko wspomnień. Tu wszak mieszka Hadżer. Pomyślał, że tak naprawdę nie tyle chodziło mu o Haluka czy profesorostwo, co o nikłą wprawdzie, ale jednak realną szansę zobaczenia dziewczyny o czarnych oczach. Bo jakże tu czekać cały tydzień...

I teraz jakby go coś uskrzydliło, ledwie się zmusił do serdecznego podziękowania i dania obietnicy, że jeszcze zajrzy do pensjonatu pani Barnes, a gdyby co, zostawi kartkę...

Sadził po schodach jak szalony, przeskakując po trzy stopnie. Na podeście zatrzymał się, nadstawił uszu. Po prawej były drzwi mieszkania profesorostwa Kseresów, po lewej państwa Gelogliu, których córką była urocza Hadżer... Cisza panowała i tu, i tam zupełna.

Zadzwoił do profesorostwa; zawsze mógł mieć jakąś sprawę do Haluka. Po jakimś czasie nacisnął dzwonek mocniej; słyszał jego przytłumiony terkot, ale nikt nie otwierał.

Oparł się o poręcz. Wiedział, co zrobi w tej sytuacji, ale trochę brakło mu odwagi. No bo czym wytłumaczy swoją wizytę?

Pacnął się dłonią w czoło. Gdyby było dość miejsca, wywinąłby kozła z radości. Kseresami się wytłumaczy. Hura, niech żyje profesor i jego rodzina za to, że raczyli się oddalić poza domowe pielesze.

Ale ten przycisk naciskał delikatnie, nieśmiało, ledwie, ledwie coś tam musiało zabrzęczeć. Czyżby też miała mu odpowiedzieć głucha cisza?

Drzwi uchyliły się prawie bezszelestnie, tak cicho, że Julek aż drgnął, widząc naprzeciw siebie uśmiechniętą życzliwie twarz pana Aziza Gelogliu, ojca Hadżer.

– Ach, to ty, Julek... No i co dobrego? Wchodźże do środka...

– U Haluka nie ma nikogo w domu, więc pomyślałem... – jękał się.

– Że u nas przeczekasz do ich powrotu... Proszę, proszę. Hadżer będzie ci niezmiernie rada. We dwójkę siedzimy, bo nasza mama wymaszerowała robić sprawunki.

– Julek!

Posłał jeszcze tylko wdzięczne spojrzenie panu Gelogliu, który zniknął za drzwiami gabinetu, i pospieszył do Hadżer. Przywitali się jak zawsze podaniem dłoni i jak zawsze miał ochotę ucałować jej smukłe palce. Nigdy się jednak na to nie zdobył.

– Wiem, wiem, słyszałam, nie tłumacz się, świetnie, że jesteś, mamy akurat nie ma ...

– Też słyszałam – nareszcie odzyskał pewność siebie. – Czytasz coś? – spojrzał na rozłożone książki.

– Nie, tak mi się myślało... O tobie też, Julku...

– O mnie? O mnie, Hadżer?

– Dziwisz się, jakbyś nie wiedział... Zaraz ci wszystko opowiem. Zaraz... A co u ciebie? Jedziesz do cioci?

– Jadę, raniutko, najpierwszym promem.

– No widzisz, to się cudownie złożyło, że dzisiaj zajrzałeś. Nie mogło być cudowniej – aż w ręce klasnęła, a oczy jej zabłyśły, jakby kto ogniem w nie sypnął.

Wiedział, że te ogromne, jak węgiel czarne oczy zapalają się tak tylko dla niego. I za każdym razem odczuwał, jak radość przenika go z tego powodu, jak staje się i lepszy, i szlachetniejszy pod spojrzeniem dziewczyny, jak nie wiedzieć co by oddał, byle móc znajdować się przy niej.

Usiadła przy nim, ujęła jego rękę w swoje dłonie, na króciutko, na chwilę, ale odczuł to jak przebłysk wielkiego szczęścia.

– Widzisz, siedziałam, myślałam i miałam zamiar pisać do ciebie... Haluk by ci wręczył list.

– Jaki list? Mieliśmy się spotkać za tydzień?

– Wyjeżdżamy wcześniej. Za cztery dni. Taty sprawy ułożyły się w ten sposób. Nie moglibyśmy się więc zobaczyć. Ale ty przyszedłeś, więc bardzo się cieszę!

On jednak nie mógł opanować zdenerwowania. Wiedział, że państwo Gelogliu wyjeżdżają nad Morze Czarne, gdzieś w okolice Samsunu, nie zaistniałaby zatem żadna szansa spotkania się z dziewczyną. Nie przypuszczał, że terminy ulegną przyspieszeniu. Zamierzał nawet wyrwać się z Adampola dzień wcześniej, Haluk by to ułatwił i zobaczyłby się z Hadżer. A teraz wszystko na nic, tyle im tylko zostało, co w tej chwili...

– Julek – położyła mu na ramionach ręce.

Spojrzał, zobaczył jej wielkie, wspaniałe oczy, wzruszoną twarz. Nagle w oczach tych zamigotało coś, stanęły łzy:

Nie pozwolił, by Hadżer się smuciła. Nie wiedzieć kiedy dotknął ustami jej oczu, a potem ust.

Ktoś chrząknął za nimi. Obejrzel się, odsuwając się od siebie, ale dopiero po chwili w drzwiach stanął pan Aziz z tym swoim dobrym, życzliwym uśmiechem na ustach.

– No, ja swoje skończyłem, uff, ciężka robota, zawsze są kłopoty z tymi bilansami – pan Aziz był wicedyrektorem wielkiego banku. – Zafer ze swoimi też chyba wrócił, słyszałem hałasy na klatce schodowej i pisk, ani chybi, Tarika.

– Pewnie mu Haluk wymierzył mocnego kuksańca – Hadżer pierwsza odzyskała głos.

– To ja zaraz do nich pójde... Bardzo dziękuje za gościnę – mówiąc to ociągał się; pragnął jeszcze choć przez chwilę zostać z Hadżer sam na sam i powiedzieć, że ją kocha, bo to chyba jest właśnie kochanie. Pan Gelogliu położył już dłoń na klamce drzwi, gdy od korytarza rozległo się szuranie.

– Mama wróciła – oznajmiła Hadżer.

Cała trójka spojrziała po sobie. Rozumieli się. Pani Gelogliu nie najchętniej widywała Julka w swoim domu. Wdzięczna była chłopcu za uratowanie córki spod kół samochodu, ale obawiała się, by młodzi nazbyt się nie polubili. Zbyt wiele wszak ich dzieliło: narodowość, obyczaje, tradycje...

– Tak, tak, to ja jeszcze raz dziękuję, bardzo dziękuję. Panu i tobie, Hadżer.

Uściskał dłoń inżyniera, a na dłoni dziewczyny, już nie zważając na obecność ojca, szarmancko, po polsku, wycisnął pocałunek.

Pan Aziz chrząknął, uśmiechnął się, Hadżer spłoszyła straszliwie.

I tyle. Zaraz potem zamknęły się za Julkiem drzwi, odgradzając go od Hadżer nie wiedzieć już na jak długo. Aby się wyzwolić od smętku, silnie, energicznie nacisnął dzwonek od mieszkania profesorostwa Kseresów.

– Julek, hura, hura! Jesteś potrzebny. Kupa zmian. Ekspedycja opóźniona, właśnie doktor Merlut przyleciał samolotem z Ankary. Wyłoniła się nowa sprawa, będzie ciekawie, zobaczysz...

Najserdeczniejszy Julkowy przyjaciel już ciągnął go za sobą do pokoju. Pani Kseres przyłożyła palce do ust:

– Ciszej, ojciec rozmawia z kimś... Witaj, Julek.

Tarik wyskoczył naprzeciw.

– Tata gada o tobie, Julek...

– O mnie?

Pan Zafer Kseres widząc Julka uśmiechnął się szeroko i powiedział do słuchawki: – I widzi pani, zguba się znalazła... Dobrze, dobrze, oczywiście, przekażę mu pozdrowienia od pani. A my, jak umówione, spotkamy się jutro. Czekam pani w Katedrze. Do widzenia, kłaniam się nisko, naprawdę czuję się zaszczycony pani telefonem.

Powoli odłożył słuchawkę i zamyślony spojrzał na nic nie rozumiejących chłopców.

– Wiesz, Julek, kto dzwonił?

Julek zaprzeczył wzruszeniem ramion. Niczego nie rozumiał.

– Pani Barnes... Kiedyś miałem zaszczyt poznać jej męża, był to naukowiec wysokiej klasy...

– Pani Barnes? – Julek wyjąkał to z niekłamany przerażeniem.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI